

# Nocą tak głośno grali

**Maciej Kaczmarski**

*„Spędzam mnóstwo czasu w samotności. Nie jestem zbyt towarzyski. Nie lubię imprez i rozmaitych spotkań bez konkretnego celu. Uważam, że imprezy są w dużej mierze błędem. Im większa impreza, tym większy błąd stanowi”*

– William S. Burroughs

*Dla Karoliny*

**Notatka prasowa:**

**Niesmak po Techno Party koło Mzurowej. Huk nie dawał spać**

Przemysław Chechelski, „Echo Dnia Świętokrzyskie”, 2 sierpnia 2013

W lasach koło Mzurowej odbyło się Techno Party. Głośna muzyka brzmiała dzień i noc przez cały ostatni weekend. – Nie dało się otworzyć okna, bo na zewnątrz był jeden wielki huk – skarżyli się mieszkańcy.

Ponownie na łąkach położonych między lasami na pograniczu gmin Małogoszcz, Sobków i Jędrzejów w miniony weekend odbyła się wielka impreza Techno Party. Zjechali ludzie z całej Europy. Muzykę przez cały weekend słyszeć było w odległości nawet kilku kilometrów.

**Nie pierwsza taka impreza**

Podobne imprezy na terenie powiatu jędrzejowskiego w ostatnich latach odbyły się już kilka razy. Wcześniej miłośnicy muzyki techno spotykali się w Wierzbicy koło Sobkowa. Pozostawili po sobie ogromne stosy śmieci. Gmina musiała je usunąć na własny koszt.

Potem impreza przeniosła się w inny rejon gminy Sobków – na polanę leśną w okolicach miejscowości Mzurowa. W 2010 roku zjechało się tam kilkaset ludzi z całej Europy. Powstało tam wielkie pole biwakowe, ustawiona została ściana głośników. Głośna muzyka na wiele miesięcy przepłoszyła z miejscowych lasów zwierzynę. A to, co po sobie zostawiła rozbawiona młodzież, było karygodne. Na łąkach zalegały tony śmieci. Co prawda były pobierane w worki, nikt jednak nie kwapił się, by je wywieźć. Z czasem nieczystości wiatr roznosił po okolicznych lasach.

Próbowaliśmy ustalić wówczas, kto był organizatorem imprezy. Było to wręcz niemożliwe. Udało nam się dotrzeć do kobiety, mieszkanki Warszawy, jak sama twierdziła – prawniczki, która przed imprezą zostawiła numer telefonu u jednej z mieszkank Mzurowej. Nie przyznawała się ona jednak, że ma cokolwiek wspólnego z organizacją imprezy.

### **Nie dało się spać**

Po trzech latach spokoju w ubiegły piątek niemal w to samo miejsce znów zaczęły zjeżdżać się auta z całej Polski i Europy. Jak się okazało, w tym samym celu. Znów na łąkach stanęły wielkie ściany z głośników, z których muzyka rozbrzmiewała przez cały weekend, aż do poniedziałku, nieustannie, również w nocy. Słysząc ją było nawet kilkanaście kilometrów dalej.

Było zdecydowanie za głośno. Ludzie mieszkający w pobliżu mówią, że nie dało się spać. – W miniony weekend był ogromny upał. W nocy w domu było bardzo duszno. Nie dało się jednak okna otworzyć, bo na zewnątrz był wielki huk – mówi kobieta mieszkająca około dwóch kilometrów od miejsca imprezy. Podobne opinie wyrażali na naszym forum czytelnicy.

### **Przesadzili...**

„Wszystko rozumiem, ale jakaś cisza nocna obowiązuje chyba? Nie znali umiaru. Nocą tak głośno grali, że nie dało się spać. Osoby mieszkające w pobliżu przeżyły dramat. Jeżeli ktoś miał wstać do pracy na godzinę 5.00 rano, to nie był wyspany. Małe dzieci nie mogły spać, a starsze osoby były zażenowane zachowaniem uczestników imprezy – picie alkoholu, ćpanie i... za każdym drzewem w lesie. Zostawili sterty śmieci i butelek. Młodzież miała rozrywkę, ale kosztem starszych osób. Ja osobiście nie mam nic przeciwko tego typu zabawom, ale to była przesada. Było za głośno. Muzykę mogli lekko

ściszyć. Oni by słyszeli, a ludzie byliby bardziej wyspani. Trochę się dziwię, że nic im nie było przy takim gorącu i tak głośnej muzyce bez spania, bo tam się raczej spać nie dało...” – pisze jeden z mieszkańców. [...]

### **Dwa symbole**

Przy ścianie głośników łopotały na wietrze dwie flagi, jedna w kolorach tęczy, którą posługują się środowiska homoseksualne, druga w kolorze czerwono-czarnym, która jest symbolem antyfaszystowskiego ruchu „Antifa”. Jest to lewicowo-anarchistyczna bojówka, nastawiona na fizyczną konfrontację z przedstawicielami grup faszystowskich, rasistowskich, szowinistycznych, nacjonalistycznych, sekсистowskich i homofobicznych.

### **Bez pozwolenia**

Podobnie jak trzy lata temu, również w tym roku nikt nie wydał pozwoleń na organizowanie takiej imprezy. – Nie wpłynęło do nas żadne zawiadomienie – mówi Krystyna Idzik, wójt gminy Sobków.

Jak twierdzi policja, według ich ustaleń ludzie bawiący się na imprezie doszli do porozumienia z właścicielami łąk. – W piątek dotarli do nas informacje, że na polanie w okolicach Mzurowej grupują się ludzie. Według naszych ustaleń, osoby te doszły do porozumienia z właścicielami łąk. Skontaktowaliśmy się z przedstawicielami sołectwa, poinformowaliśmy o obecności tych ludzi Państwową Straż Pożarną oraz Straż Leśną. Monitorowaliśmy cały czas teren. Kontrolowaliśmy samochody na drodze wylotowej z lasu. Kierowcy badani byli na zawartość alkoholu i narkotyków w organizmie. Przez cały ten okres nie mieliśmy ani jednego oficjalnego zgłoszenia o zakłóceniu spokoju – wyjaśnia Grzegorz Dudek, oficer prasowy Komendy Wojewódzkiej Policji w Kielcach.

### **Kto posprząta?**

Trzy lata temu imprezowicze pozostawili po sobie jeden wielki bałagan. Tym razem śmieci jest mniej, ale pomimo deklaracji składanych na forach, nieczystości nadal nie zniknęły. Jak dowiedzieliśmy się od służb leśnych, w środę rano worki nadal leżały na kilku stosach. Zaczynali je płądrować poszukiwacze puszek. Wiele śmieci jest również przy leśnej drodze prowadzącej do polany. Tych nieczystości już nikt nie zebrał do worków.

Zaczyna się od przypadku.

Nie wierzę w przypadki.

Pewnej nocy dostaję telefon, na który czekałem od dawna.

– Siema. Będzie techno w lesie pod Kielcami. Pakuj się, jedziemy.

To nie jest pytanie. To jest stwierdzenie. Zostaję postawiony przed faktem jeszcze niedokonanym, lecz już nieuniknionym. Nie opieram się zbyttnio. Nie opieram się w ogóle. Tak chce los.

Mam niecałą dobę, żeby się zorganizować. Dwa razy więcej niż trzeba.

No bo co właściwie trzeba? Namiot, śpiwór, szczoteczka do zębów, bielizna na zmianę, czarna bluza z kapturem i wygodne buty, najlepiej dwie pary. Buty to podstawa. W ciągu kilku dni można przebyć dziesiątki kilometrów, nie ruszając się z miejsca. W ciągu kilku godzin można zrobić dwadzieścia trzy maratony pod głośnikami. W ciągu kilku minut można zamknąć sobie wszystkie czakry. Sekundy potrafią decydować o życiu, zdrowiu i dobrym samopoczuciu. Można nie jeść, można nie spać, można nic nie mówić. Ale nie można się nie ruszać. W końcu trzeba się ruszyć.

Umawiamy się na stacji benzynowej na wylotówce. Jestem przed czasem. Wolę czekać, niż być oczekiwany. Słońce świeci mi prosto w twarz. Patrzę na przejeżdżające tiry, na smagane pędem powietrza drzewa, na młodocianego pracownika stacji, który oferuje swoją pomoc klientom. Nikt nie korzysta. Pełna niezależność i odosobnienie. Nie potrzebujemy twoich usług, gnojku. Ale doceniamy twoje starania. Milego dnia.

Przyjeżdżają prawie punktualnie. Ale czy rzeczywiście? Może są przed czasem, może się spóźnili. To bez znaczenia. Zbijanie piątek i krótkie sprawozdanie z nie-dalekiej przeszłości oraz równie oszczędny zarys planu na najbliższą przyszłość. Obowiązkowe wypalenie papierosa – w końcu jesteśmy na stacji benzynowej – i w drogę. Przed nami ponad sześćset kilometrów Polski.

Dobrze, że nie prowadzę.

Parny sierpień. Złote polskie lato. Ruch gęsty i nieustanny. Błysk karoserii, szum silników, smugi spalin, gorące powietrze, które załamuje perspektywę. Auto polyka szarą szosę jak rekin. Czasami, kiedy zwalniamy w obsadzonych fotoradarami miasteczkach albo na bramkach autostrady, przyglądam się innym uczestnikom ruchu, w milczeniu analizując sumę unikniętych katastrof. Ale jedyne, co widzę, to całe to mieszczaństwo, które ucieka z miasta na wieś, żeby plugawić prowincję swoim narcyzmem. Za kierownicą znudzony mąż, obok nadąsana żona, a z tyłu rozwyrzone dzieciaki i pies, który dostaje kota.

Szkoda, że nie prowadzę.

Na wszelki wypadek mam ze sobą książkę. *Radosny przewodnik po lakrymologii* Ronald P. Vincenta. Przed laty czytałem ją, jakby była atlasem drogowym mojego życia. Teraz jednak wolę patrzeć za okno. Gorzów, Poznań, Konin, Łódź, Piotrków, niezliczone bezimienne wioski i miściny. Jeśli wszechświat ma dupę, to właśnie tam, w centralnej Polsce. Kocham centralną Polskę. Kocham ją całą, choć to trudna i nieodwzajemniona miłość. Ale jednak miłość. Nic lepszego jeszcze nie wymyślono.

Ciężkie, kanciaste bloki, które wyglądają, jakby pierdolnęły w ziemię z nie wiadomo jakiej wysokości. Złocene dachy i kamienne lwy na kolumnach, pilnie strzegące bajkowych rezydencji. Pałętający się po poboczu nieszczęśnicy zmożeni kredytem na zeszyt w zaprzyjaźnionym sklepie. Przydrożne bary z szarą grochówką, gumowatymi pierogami i nieczynnymi automatami do gry. Miejskowa

piękność o kształtach Wenus z Mielna. Nawiązany nierozważnie kontakt wzrokowy z lokalnym neandertalczykiem. Tirówki brzydkie jak makrele i tak samo tłuste.

Moją uwagę zwraca widok rozjechanych zwierząt na asfalcie. Dobitny dowód na istnienie człowieka, myślę. Strupieszale tusze, zeszywniałe ogony i nieruchome skrzydła. Maleńkie przejawy wielkiego cierpienia. Najsmutniejsze, najbardziej żalodne i samotne znamiona naglej, niezawinionej śmierci. Krwawe żniwo samochodowych szlaków ukazujące ludzką obojętność wobec końca innych istot. Kto po uderzeniu jenota, jeża lub sarny, nie odniósłszy awarii auta, sprawdził, czy zwierzę żyje? Kto zatrzymał się, żeby chociaż usunąć z drogi rozerwane na strzępy futrzaste ciało, które jeszcze przed chwilą tętniło życiem?

Podróże gwałcą.

O zmroku docieramy na miejsce. To chyba za dużo powiedziane. O zmroku docieramy w poblizsze miejsca. Jesteśmy sami w samym środku lasu, w sercu lasu. Słyszymy tętent muzyki, ale nie potrafimy zlokalizować źródła. Koordynaty okazują się zwodnicze. Tam, gdzie miało być *party place*, objawia się pole paproci. Pękate, puchate i perwersyjnie zielone. Spotykamy innych zbłąkanych pielgrzymów. Jeden deklaruje, że jeśli nie znajdzie miejscówki, zostanie tutaj i będzie tańczyć do rana. Na dowód wyciąga przenośny głośnik. Sprzęt charczy, jest na wyczerpaniu. Pielgrzym twierdzi, że to nic nie szkodzi, bo i tak słyszy muzykę w swojej głowie. Mówię, że wszyscy ją słyszymy. Uśmiecha się tak, jakby doznał natychmiastowej nirwany. Nie chcę wyprowadzać go z błędu. Prawdopodobnie sam tkwię w nim po uszy.

Telefony, telefony. Gdzie dzwonić mam? „Podążajcie w stronę muzyki”, mówią. „Ale tu wszędzie jest muzyka i jednocześnie nigdzie jej nie ma”, odpowiadamy. „No to w tę stronę dawajcie”. „Ale w którą stronę?” „Ziomy, spokojnie. Słyszycie muzykę?”, dopytuje nawigator, choć nikt nie panikuje. „Czy słyszymy? Człowieku, my ją, kurwa, czujemy w bebechach!”, krzyczymy. „No właśnie. Podążajcie za tym uczuciem”, mówi nasz przewodnik i rozłącza się.

Dobra rada, Wuju Dobra Rada. Ale nie ma wyjścia. Już nie można się zatrzymać ani cofnąć. Jedziemy dalej. Ciemność okazuje się naszym sprzymierzeńcem, bo to na jej tle zaczynają zarysowywać się stroboskopy, lasery i dym. Ostatecznie okazuje się, że Wuj Dobra Rada miał rację. Dał radę. Uczucie rzeczywiście prowadzi nas prosto na miejsce. Możemy tylko mieć nadzieję, że to samo uczucie pozwoli nam wrócić.

Bo to nie przelewki. Jeśli wchodzi się w coś takiego, z góry wiadomo, że wyjście będzie miało swoją cenę. Jej wysokość zależy od wielu czynników, znanych i nieznanymi. W skrócie można ująć to tak: im większy kredyt, tym większy dług. Im większy dług, tym dłuższe raty. Im dłuższe raty, tym krótsze noce i dni.

Ta noc nie należała jednak do krótkich. Noc z piątku na niedzielę nigdy nie jest krótka.

Nie sposób oddać w słowach to, co widzimy na miejscu. Na właściwym miejscu, na *party place*. Naszym oczom ukazuje się polana skąpana w sztucznej mgłę, tak gęstej, jakby sam Bóg palił jointy przez całą noc. Na ścianie, od której polanę odgradza las, wystawiono sound systemy. Nie sposób powiedzieć, ile ich jest. Dwadzieścia? Czterdzieści? Razem tworzą nieprzerwaną kolumnadę, która trwa niewzruszenie przez kilkaset metrów. Tam, gdzie kończy się jedna bateria potężnych głośników, zaczyna się kolejna. Jedna ścianka ściśnięta tuż obok drugiej.

Nikt nie przejmuje się odległością ani spójnością tego, co wypływają z siebie drgające membrany. Breakcore obok acid techno. Happy hardcore obok ambientów. Dub obok drum'n'bassów. Ludzie, setki ludzi, może nawet tysiąc. Stłoczyli się tu wszyscy, którzy urodzili się za wcześnie, żeby być *cyber*, i za późno, żeby być *punk*. Wydaje się, że na tym kawałku ziemi wreszcie odnaleźli swoją niszę. Bawią się tak, jakby już zawsze mieli pracować. Tańczą tak, jakby od tego zależało ich życie. Rozmawiają tak, jakby to były ostatnie rozmowy w ich życiu, jakby za chwilę mieli umrzeć i próbowali powiedzieć wszystko, czego za życia nie zdążyli wyrazić w słowach. W dusznym powietrzu unosi się zapach historycznego, od dawna nierozładowanego napięcia, które dopiero teraz, dopiero tutaj znajduje swoje ujście.

Nagle przypomina mi się dialog, który dosłyszałem tydzień wcześniej, ponad sześćset kilometrów na północny zachód, podczas otwarcia nowego klubu w mieście. Ona zapytała go, dlaczego nie tańczy. On odpowiedział jej, że to nowa koszulka i nie chce się spocić.

Tutaj nikt nie ma nowych koszulek. Tutaj wszyscy się pocą.

Pojawiają się znajomi, bliźsi i dalsi. Dawno niewidziane, choć znajome twarze. Twarze, które widuje się tylko w określonym miejscu i w określonym czasie. Znajomości niekoniecznie jednorazowe, ale raczej incydentalne. Niektóre zawierane bez słów, wymownym spojrzeniem lub skinieniem głowy. „Tak, tak, to ja”. „Oczywiście, że pamiętam”. Tak, tak, oczywiście.

„Zaraz wracam”, rzucam w próżnię obietnicę bez pokrycia, choć i tak nikt nie słucha, a jeśli ktoś słucha, to i tak nie wierzy, a jeśli wierzy, to i tak ma to gdzieś. Wchodzę w roztańczony tłum. Czuję, jak mnie unosi, jak popycha moje ciało od jednego sound systemu do drugiego. Każda ścianka oferuje coś innego, coś osobnego, coś unikatowego. Od Czechów dostaje się to, czego nie dają Holendrzy. Niemcy nie mają takiego luzu jak Włosi. Francuzi są zachowawczy w porównaniu do Polaków.

Polacy potrafią. W końcu to oni zorganizowali cały ten zgiełk.

Szybko porzucam te rozważania. Daję się porwać muzyce. Nie wiem, co to za sound system, ale to się teraz nie liczy. Kawalek, który słyszę, brzmi jak pozaziemska broń, którą ktoś rozmyślnie rozłożył i skrupulatnie składa od nowa na moich oczach. Dźwięk jest ogłuszająco głośny i zarazem krystalicznie czysty. Zmiata wszystko na swojej drodze. Daje mi bardzo prosty wybór: albo tańczysz, albo spierdalasz.

Tańczę przez chwilę, a potem spierdalam. Chcę iść dalej. Chcę odkrywać, chcę poznawać i doznawać. Postanawiam przejść całą soundsystemową aleję w tę i z powrotem i zobaczyć, co przyniesie los. Plany są mgliste niczym tutejsze powietrze. Przypominam sobie, że gdzieś w pobliżu jest jezioro. Idealne miejsce na wschód słońca, od którego dzielą mnie już tylko godziny.

Kolejne sound systemy różnią się muzyką, ale nie różnią się publiką. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, zakapturzone czarne postaci pogrążone w ekstatycznym tańcu. Wraca do mnie scena z *Trainspotting*, kiedy Renton obserwuje parkiet na dyskotece i stwierdza: „Za tysiąc lat nie będzie ani chłopów, ani babek, tylko sami onaniści. Jak dla mnie bomba”.

Jak dla mnie bomba.

Nabieram ochoty na piwo. W aucie są cztery skrzynki, ale nie ma sensu wracać. Przyda się na później. Wiele sound systemów ma własne zaplecze gastronomiczne. Makaron, samosy, placki, piwo, wódka, nalewki. Dostaję cynk, że Czesi

mają butelkowego Primatora. Kieruję się w stronę czeskiej wioski. Mam do przebycia zaledwie dwieście metrów, ale po drodze dzieje się tyle, że spóźniłbym się na samolot, nawet gdybym był już na pokładzie.

Czesi grają bezlitośnie. Niski pomruk basu wywraca moje wnętrze na lewą stronę. Wysokie dźwięki kanciastych syntezatorów świdrują mi czaszkę na wylot. Jestem zachwycony i przez chwilę zapominam o celu mojej wizyty. Przeszedłem wszak po pyfko. Długowłosy chudzielec w koszulce z logo Einstürzende Neubauten w milczeniu przelewa napój z butelki do plastikowego kubka. Patrzy na mnie przelotnie, a ja dostrzegam jego źrenice. Są tak wielkie, że nie sposób odgadnąć, jaki kolor mają tęczęwki. Nieprzenikniona czerń przez chwilę wpatruje się we mnie niczym otchłań, a potem przenosi wzrok na kubek.

– *Anything else?* – pyta powoli, nie odrywając oczu od plastiku wypełnianego piwem.

– *What do you mean?* – odpowiadam, patrząc w dwie czarne dziury pod jego czołem.

Uśmiecha się porozumiewawczo i zaczyna wyliczankę:

– *Hash... cocaine... LSD... shrooms... molly... you know.*

– *I know. Just beer.*

Plącę i idę dalej, popijając piwo. Jest pyszne, mimo że z plastiku. Zatrzymuję się na chwilę przy każdej ścianie. Z potężnego sound systemu falami wylewa się utwór, który brzmi tak, jakby jego twórca płynął płonącym statkiem. Tłum przed głośnikami faluje jak ocean. Jeden z tancerzy wsadza głowę do głośnika, nie przestając machać rękami i nogami. Patrzę na niego, a potem, sam nie wiem kiedy, zaczynam tańczyć. Ruszam się tak, jakbym sprzedawał gwoździe. Czuję się wspaniale. Czuję się wolny.

Kawałek dobiega końca i przechodzi w coś, co przypomina zrzucanie kryształowego żyrandolu z wysokich marmurowych schodów w przyspieszonym tempie. Przejście jest płynne, niemal pozbawione szwów. To dobry didżej. Dobrze wie, co robić. Wykorzystuje chęć przynależności, która tkwi w wibrującym tłumie. Kolektywnego pielęgnowania siły, która zespała wszystkich podczas tańca. Publika należy do niego. Ludzie sprawiają wrażenie nagrzaných po same uszy.

Ruszam dalej. Spotykam kolejnych znajomych-nieznajomych. Przekrzykujemy się, żeby cokolwiek zrozumieć. Kiedy nie rozumiemy, udajemy, że rozumiemy, i energicznie kiwamy głowami. I dalej się wydzieramy. Za trzy dni wszyscy będziemy półgłuchymi półgłówkami ze zdartymi gardłami.

Didżej z wielkiego miasta opowiada, jak podczas wycinki puszczy przywiązywał się łańcuchami do drzew razem z innymi śmiałkami. Jak leśnicy i policjanci prowokowali ich, żeby zastosować usprawiedliwioną przemoc. Jak miejscowi dokarmiali aktywistów, a jeden nawet udostępnił im swój dom. I jak obrzucili pomidorami samochód lokalnego radnego, który w pełni poparł rządowy projekt wylesienia.

Czy nie lepsze byłyby jajka? Moje wątpliwości rozwiewa wegańska wojownicznica, którą znam z widzenia. Wyciąga smartfon i włącza się do rozmowy. Pokazuje filmiki nagrywane w rzeźniach i ubojniach. Opowiada o holokauście, jaki rodzaj ludzki urządza swoim braciom mniejszym. Wygłasza płomienną przemowę o szowinizmie gatunkowym. A potem jednym haustem wypija pół butelki piwa i siarczyście beka. Nie mam nic do dodania.

Ktoś proponuje mi spida w samochodzie. Nie, dzięki, mówię. Nie chcę integrować się przy kresce. Nie chce mi się gadać. Nie chcę siedzieć w aucie. Spędziłem

w nim cały dzień. Wizja zamknięcia w metalowej puszcze, podczas gdy dookoła dzieje się to wszystko, jest odstręczająca. Mój grzeczny, lecz stanowczy sprzeciw spotyka się z pełnym zrozumieniem.

Spid. Jeden z najbardziej zdradzieckich narkotyków znanych ludzkości. Zabiera cię w przyspieszony lot dookoła świata w jeden dzień, w tydzień, w pięć miesięcy, w dwa lata. Lot luksusowym samolotem, wynajętym specjalnie dla ciebie. Na pokładzie są kobiety, truskawki i zimny szampan. Wciągasz, pijesz i tańczysz, a granica między dniem i nocą rozmywa się, kiedy okrążasz planetę po raz trzynasty, ciągle wyprzedzając świat o jeden krok. Lot trwa i trwa, i trwa, i trwa, i trwa. Ale w końcu musisz się katapultować, bo samolot nieuchronnie zmierza ku skalistemu klifowi, gdzie rozpiardoli się w płomieniach.

Przy kolejnej ścianie ktoś przyciąga moją uwagę. Otacza go półokrąg ludzi, do których przemawia. Spijają każde słowo z jego ust. Jest wyraźnie starszy od reszty. Zdradzają go poorana bruzdami twarz i długa, siwa broda. Wygląda jak Gandalf, gdyby Gandalf regularnie zarzucał kwasu i jeździł na techno w lesie. Jego naznaczona doświadczeniem twarz promienieje, jest żywa i świetlista. Pomimo panującego wokół półmroku, przecinanego pulsem stroboskopu i światłem laserów, na oczach ma ciemne okulary. Kiedy je zdejmuję, dostrzegam wielkie bladoniebieskie oczy. To rodzaj oczu, które z pewnością widziały mnóstwo wschodów i zachodów słońca. Był tam, zrobił to i tamto. Poczynił tak spektakularną ilość niezwykłych i pojebanych rzeczy, że resztę życia mógłby spędzić na ich wspomnianiu. Teraz dzieli się tym ze swoimi technoakolitami, którzy tańczą dookoła niego niczym poganie wokół rytualnego ogniska.

Docieram do krańca kolumnady sound systemów. Ostatnia ścianka – albo pierwsza, w zależności od perspektywy – gra srogie techno. Ciężkie, metaliczne i całkowicie odhumanizowane. Ludzie dookoła skaczą niczym doskonale naoliwione maszyny. W powietrzu roztacza się mdły zapach ziela. Dziewczyna podrygująca obok mnie bez słowa podaje mi jointa. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Czy aby na pewno? Zaciągam się raz, a dobrze. Gorący dym szczelnie wypełnia moje płuca. Kierowany nagłym impulsem, zaczynam tańczyć, choć czuję, że dym ścina mnie z nóg niczym piły łańcuchowe las amazoński.

Robię pauzę, żeby napić się wody, i zerkam na samotnych tancerzy. Wszyscy w swoich własnych, zamkniętych światach. Blisko siebie, ramię w ramię, a jednak daleko od siebie, kompletnie osobni. Czy pojawili się w epicentrum hałasu po to, żeby znaleźć kogoś, z kim można pobyć w ciszy? Czy potrzeba drugiego człowieka jest biologiczna? W przypadku braku fizycznego pożywienia organizm zaczyna pożerać sam siebie. Gdy brakuje pożywienia emocjonalnego, człowiek pożera własne myśli i uczucia w nadziei, że jego sentymenty zastąpią miłość drugiej osoby. Czy to właśnie obserwuję?

A kogo to, kurwa, obchodzi w tej chwili? Wszyscy są tu i teraz – i wygląda na to, że nie potrzebują niczego więcej. Wszystko, co się teraz liczy, to dobra zabawa, która odciąga od wszelkich innych myśli, zmartwień i wątpliwości. Zabawmy się, zabawmy się na śmierć.

Kiedy odwracam głowę, zauważam traktor z przyczepą. Ktoś musiał przyjechać tu z pobliskiej wioski. Traktor jeździ powoli w tę i z powrotem, zataczając koło na poboczu polnej drogi. Na przyczepie tańczą raverzy. Niektórzy bez koszulek. Są zachwyceni. *Love Parade deep forest edition.*

To nie jedyny miejscowy, który postanowił ubić interes. Inny przyjechał na motorynce z wielkim naręczem bielunia przewieszonym przez zbiornik paliwa. Sprzedaje go wszystkim chętnym. Chętnych nie brakuje.

Dziewczyna z jointem wrzeszczy mi coś do ucha, ale nie jestem w stanie zrozumieć nawet litery ze słów, które wykrzykuje. Widzi moją skonfundowaną minę, uśmiecha się, robi nieokreślony gest ręką i podaje mi jointa. Znow ściągam jednego, lecz potężnego macha. Dziewczyna bez ostrzeżenia łapie mnie za rękę i odciąga na bok, kilkanaście metrów od głośników.

Krzyczy, że kojarzy mnie z poprzednich imprez. Nie ma sensu zaprzeczać, więc tego nie robię. Dodaje, że od razu wiedziała, od razu mnie rozpoznała. Ciekawe, co mnie zdradziło, myślę. Ciekawe, co mnie zdradziło, mówię. Odpowiada, że oczy. Patrzę w jej oczy. Spoglądają na mnie z nieodgadnioną mieszanką sympatii i ciekawości. Są wielkie i piękne. Nie wiem, co powiedzieć, więc milczę. Ona to wyczuwa, uśmiecha się i znow łapie mnie za rękę, tym razem ciągnąc mnie w sam środek wydeptanego w trawie parkietu.

Tańczymy tak, jakbyśmy mieli wyruszyć na wielką wojnę. Jakby to był nasz ostatni raz. Ona, ja, wszyscy. Patrzę na dziewczynę i zachwygam się tym, jak się porusza. Jakby urodziła się tylko po to, żeby tańczyć do tego kawałka. Jakby poprzez te gigantyczne głośniki muzyka zrodziła swoje doskonale cielesne uosobienie, które tańczy z dokładnością do jednej setnej sekundy rytmu, bez najmniejszego błędu wyczuwając kolejne uderzenie perkusji. Jej nogi są w pełni zsynchronizowane z resztą ciała. Jej ciało reaguje na każdy dźwięk. Idealna harmonia, absolutny sens. Nagle dziewczyna jawi mi się jako totalne zjawisko, które dzieje się na moich oczach. Obserwuję ją, jak przemieszcza się od lewej do prawej. Odczuwam zaszczyt, że mogę ją widzieć. Musiałem się postarać, żeby tutaj trafić. Musiałem przejść swoje, żeby móc ją podziwiać. Teraz widzę, że nie tylko oczy dziewczyny są piękne. Ona sama jest pięknem.

Nie mogę tego dłużej znieść. Nadmiar dobra może szybko przerodzić się w zło. Schodzę z parkietu i ustawiam się z boku. Dziewczyna tego nie zauważa, pogrążona w bezkresnym tańcu. To dobrze, myślę. Tak chcę ją zapamiętać.

Noc powoli ustępuje miejsca porankowi. Kształty stają się wyraźniejsze, twarze – bardziej widoczne. To dobry moment, żeby skierować się w stronę jeziora, myślę. Zaczynam odczuwać palące pragnienie. Muszę zaopatrzyć się w coś do picia, zanim wyruszę.

Za barem najbliższego punktu gastronomicznego stoi barmanka o twarzy pozbawionej wyrazu. Zamawiam wodę w butelce. Dwie sztuki, tak na wszelki wypadek. Moja intuicja jest dobra, bo jedną butelkę wypijam niemal od razu. Z zaskoczeniem zauważam, że przy barze stoją dwaj chłopcy. Byli tu wcześniej czy dopiero przyszli? Nie mają więcej niż po dwadzieścia trzy lata. Jeden wygląda jak żywcem wyjęty z fabryki punków. Ma na sobie koszulkę Ramones i ramoneską lśniącą od nowości. Drugi przypomina Golema z okresu, zanim rabbi Loew wsadził mu w usta magiczną formułę. Powiedziałem to czy tylko pomyślałem? Słyszeli mnie?

– No i wiesz, wtedy odkryłem buddyzm – mówi Golem do Ramonesa.

– Twoja gulaszowa – mówi barmanka, podając Golemowi plastikowy talerzyk.

Nagły rechot wypełnia mnie tak, jak wcześniej marihuanowy dym. Jest wszędzie: w moich płucach, w kościach, w żyłach i w opuszkach palców. Jest wewnątrz i na zewnątrz. Nie jestem w stanie powstrzymać śmiechu. Teraz jestem już pewien, że mnie słyszą. Ich spojrzenia nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Patrzę na mnie jak na dziką bestię, która wymknęła się spod kontroli i uciekła z klatki. W ich oczach jestem paskudnym satyrem, roześmianą hieną, bezmyślnym zwierzęciem.

A tak swoją drogą to gdzie podziały się wszystkie zwierzęta? Przecież jesteśmy w lesie. Od wielu godzin nie widziałem ani jednego ptaka. Żadnych lisów, saren, zajęcy. Nawet komary zniknęły. Gdyby kogokolwiek ukąsiły, padłyby z przedawkowania.

Docieram nad jezioro. Siadam na piaszczystym brzegu i wpatruję się w jego taflę. Jest już prawie jasno. Słońce powoli, lecz nieubłaganie wschodzi ponad okalającymi wodę drzewami, ogłaszając koniec gorącej nocy i zapowiadając równie gorący dzień. Delektuję się całkowitą samotnością. Z daleka dobiega mnie niski pomruk muzyki, który przeplata się z podmuchami letniego wiatru i szmerem karłowatych fal na jeziorze. Jest dobrze.

Moja samotność nie trwa długo. Pojawia się para, on i ona. Kogucik i Laleczka. Tak nazywam ich w myślach, bo tak też wyglądają. Siadają niespełna dziesięć metrów ode mnie, choć mogli wszędzie indziej. W akcie pozdrowienia podnoszą dłonie w moją stronę i kiwają głowami, a ich usta bezdźwięcznie mówią „cześć!”. Odwdzięczam się tym samym i znów patrzę na wodę.

Nie mogę nie słyszeć ich rozmowy. Może miałem ją słyszeć? Może dlatego usiedli tak blisko?

– No i wiesz – mówi Kogucik do Laleczki – Ten, no... Rozbite lustro staje się brzytwą, a... ten... pokochany kijek staje się fletem... Czaisz, no nie?

Nie wiem, czy Laleczka czai. Ja nie czaję. Może to zdanie wyrwane z szerszego kontekstu. Może ma głębszy sens. W porządku, myślę. Mogę nie czaić. Mogę z tym żyć.

Kogucik mówi dalej, mówi dużo i szybko, choć niesforne słowa czasem mu uciekają, rozbiegają się niczym sfora psów, gdy on próbuje je dogonić. Ale Laleczka słucha jak zaczarowana.

– No bo wiesz... Wszystko jest, no... wszystkim. To, co jest jednym, jest jednym, a... ten, no... to, co nie jest jednym, też jest jednym. Generalnie, kurwa, wszystko jest jednym. Czaisz, no nie?

Słońce wznosi się coraz wyżej na niebie i wtedy dzieje się coś, czego Kogucik nie przewidział.

– Hej, skarbie – odzywa się nagle Laleczka. – A to jest wschód czy zachód słońca?

Kogucik zamiera jak pies, który usłyszał dziwną częstotliwość. Na jego twarzy maluje się kompletna pustka, w oczach widzę grube trociny procesów myślowych. To jasne, że nie ma najmniejszego pojęcia, jaka jest pora dnia. Zastanawiam się, czy pustka i niewiedza też są jednym. Pewnie tak. Trociny są jednym, nawet jeśli nie są jednym. Na pewno, na sto procent.

– Eee... Sorry, ziomuś... – Słowa Kogucika bez wątplenia są skierowane w moją stronę. Wyczuwam je jak powiew wiatru z dziesięciu metrów. – Nie wiesz może, czy... czy...

Postanawiam go oszczędzić i mówię po prostu:

– Wschód. Nowy dzień.

Spełniłem swoją rolę w tym miejscu, myślę. Czas wracać na imprezę i zobaczyć, co z niej zostało. Promienie letniego słońca palą mój kark, zniewalają mnie i jednocześnie dają energię, żeby iść dalej. Nie spieszę się, bo wiem, że nic istotnego mnie nie omija.

Kiedy docieram do pierwszej ścianki – albo ostatniej, zależy od perspektywy, a ta już dawno uległa deformacji – słońce stoi wysoko na niebie. Jest bezlitosne i obnaża wszystko. Krajobraz wygląda jak po ciężkiej bitwie. Przede mną roztacza się wizja postnuklearnej planety, na której dzięki hordy prymitywnych pólludzi walczą o dostęp do samic za pomocą oszczepów. To znaczy ci z nich, którzy mają siłę na jakąkolwiek walkę. Najczęściej wystarczy im sił tylko na to, żeby walczyć ze sobą, z własnym zmęczeniem i przedawkowaniem bliżej niezidentyfikowanego gówna, które jakiś chemik amator zsyntetyzował trzy dni wcześniej w swojej kuchni na blokowisku, a potem sprzedał przez internet. Wystarczyło zmienić jeden polimer, żeby oszukać ustawę antynarkotykową.

Nieliczne niedopalki ludzkie podrygują w brunatnym błocie, które kilka godzin temu było zieloną trawą. Reszta pochowała się w namiotach, uciekając przed słońcem niczym wampiry. Ci, którzy nie zdążyli, leżą tam, gdzie zastał ich świt, gdzie popadnie. Wszyscy wyglądają jak swoi dziadkowie, postarzeni o czterdzieści lat w ciągu jednej nocy.

Ktoś podaje mi puszkę piwa. Jest obrzydliwe, cynkowy posmak pokrywa się skazą na moim języku. Ale jest płynem, a o tej porze każdy płyn jest na wagę złota.

Kupuję wodę w jednym z prowizorycznych barów. Stojący obok mnie chłopak o dzikim spojrzeniu i twarzy niczym wewnątrz włoskiego orzecha zamawia tequilę. Kiedy słyszy, że zabrakło soli, podnosi do góry lewą rękę i liże swoją pachę, po czym opróżnia kieliszek i wbija zęby w plasterek cytryny.

Wśród ludzkich niedobitków mój wzrok napotyka osamotnionego Gandalfa. Akolici, którzy kilka godzin wcześniej delectowali się jego opowieściami, gdzieś wyparowali. Próbuje tańczyć, ale wygląda to jak spazmy epileptyka, który zapomniał zażyć lekarstwa. Twarz ma szarą i zastygłą niczym plemienna maska. Sprawia wrażenie starca, który przeżuwa miniony czas, podróżując w błędnym kole swojego umysłu. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem – i ani kroku dalej. Bezładna wyspa, która rozpaczliwie pragnie, żeby ktoś ją zamieszkał.

Pod jedną ze ścianek napotykam didżeja z wielkiego miasta. Jest nadpobudliwy, ma rozbiegany wzrok, zadaje mi pytania, na które sam odpowiada. Nagle, jednym ruchem ręki, zrzuca z prowizorycznego stolika rząd puszek z piwem. Łądują w trawie, ciepły, wygazowany płyn wsiąka w ziemię. Podnosi je i rzuca w krzaki. Te, których nie dorzucił, z furią depcze. Zauważam, że nosi najnowszy model butów uszytych w chińskich fabrykach, a może w obozach pracy. Jeszcze kilka nieskoordynowanych ruchów, które przypominają taniec świętego Wita – i pada plecami na trawę. Cały czas gadał tylko do siebie. Chyba nawet nie zarejestrował mojej obecności.

Nikt nie przejmuje się tonami śmieci zalegającymi wszędzie jak okiem sięgnąć. Puszki po piwie, butelki, jednorazowe talerzyki z zaschniętymi skorupami keczupu i musztardy, niedopalki, foliowe woreczki z resztkami żółtawego proszku, zużyte balony po rozweselającym gazie... Nikt nie sprząta. Wszyscy są zbyt zajęci dogorywaniem w palącym słońcu i rozmowami o tym, jak ważna jest matka natura i że trzeba dobrze traktować zwierzęta.

Jestem mimowolnym świadkiem aktu bezsensownej przemocy. Rosły brodac z siłą zdiera bluzę z wychudzonego wyrostka. Kilka godzin wcześniej słyszałem, jak facet nabożnym tonem prawił o wolności, równości i braterstwie. Teraz oskarża chudzielca o kradzież odzienia. Oskarżony tłumaczy, że bezpieczna bluza leżała na trawie. Było mu zimno i chciał się ogrzać. Ale brodac jest niewzruszony. Jest od tamtego dwa razy większy i ciska gromami wypluwanych słów. Na koniec

uderza go w twarz otwartą dłonią. Chłopak osuwa się na ziemię. Właściciel bluzy zawiązuje ją wokół bioder i odchodzi.

W końcu spotykam dziewczynę-zjawisko. Stoi pod głośnikami z półprzymkniętymi oczami, z trudem utrzymując równowagę. Jej ruchy, kiedyś tak perfekcyjne i harmonijne, teraz przypominają ostatnie spazmy robota, któremu wyczerpują się baterie. Jej okolone sinymi obwódkami oczy, kiedyś przejrzyste i piękne, teraz stanowią wodnisty i zaczerwieniony cień dawnej wielkości. Jej twarz, kiedyś tak czysta i promienista, teraz wygląda jak czaszka powleczone cienką warstwą chudego mleka.

Dziewczyna też mnie dostrzega. Podchodzi i wykrzywia twarz w grymasie, w którym rozpoznaję próbę uśmiechu. Przez krótką chwilę usiłuje uformować jakieś zdanie. Jej usta rozchylają się, ale nie wydają żadnego dźwięku. To, co było na brzegu jej warg, cofa się na zawsze do sfery słów niewypowiedzianych. Wraca pod ścianę dudniących głośników. Czuję nostalgię za tym, czego nigdy razem nie przeżyliśmy.

Przypomina mi się Céline: „Wszędzie otaczała nas nieopisana hucpa”.

Dopiero teraz zauważam, że równoległe do polnej drogi, po której kilka godzin wcześniej jeździł traktor z przyczepą tancerzy, ciągnie się rów melioracyjny. Jest wypełniony brudną brązową wodą. W rowie leży kompletnie nagi raver. Ponad poziom wody wystają tylko jego głowa, kolana i członek. Wygląda jak nadpalone zwłoki rozkładające się w Gangesie. Jedyną oznaką życia, jaką daje, są miarowe ruchy głowy. Żyje, ale czy czuje, że żyje?

Po traktorze nie ma śladu. Albo inaczej: po traktorze zostały tylko ślady wyłobione w polnej drodze. Maszyna i przyczepa zniknęły. Dostrzegam motorynkę, z której wcześniej sprzedawano naręcza bielunia. Leży na boku w wysokiej trawie. Obok, też na boku, leży nieprzytomny kierowca. Prawdopodobnie padł ofiarą własnego towaru. A może skorzystał z bogatej oferty czeskich braci? To już bez znaczenia. Jak by nie było, jest doszczętnie znokautowany.

Nokaut dosięga również mnie. Jest nagły i niespodziewany. Olbrzymia bateria głośników, przy której stoję diabli wiedzą jak długo, wypluwa z siebie mroczne, niepokojące dźwięki. Ich intensywność jest tak przytłaczająca, że niemal wbija mnie w ziemię. Hałas otacza mnie zewsząd, okrywa moje ciało jak pogrzebowy całun i zarazem wypełnia je od środka. Czuję się całkowicie zniewolony tym potwornym, przeszywającym na wylot hukiem. Kręci mi się w głowie, w oczach robi się ciemno, tracę grunt pod nogami. Jestem sam na sam ze sobą w dudniącym mroku. Zaczynam chodzić dookoła z wyciągniętymi rękami i nadzieją. Chcę chwycić coś, co da mi poczucie bezpieczeństwa. Nie znajduję nic oprócz pustki.

Już wiem, że nic dobrego mnie tu nie spotka. Wracam do samochodu. Wyciągam z bagażnika namiot, karimatę, śpiwór, plecak z suchym prowiantem i wodą i zapuszczam się głęboko w las. Idę tak długo, aż nie słyszę niczego, nawet własnych myśli. W końcu trafiam na skąpaną w słońcu polanę.

Rozbijam obozowisko w cieniu pomiędzy drzewami. Czasami odzywa się jakiś ptak. Jest cicho, ale nie ma ciszy. To wywołuje we mnie głęboki spokój. Zapadam w sen, a kiedy się budzę, wstaje nowy dzień. Czuję się tak, jakby Bóg uratował mnie przed utonięciem, a potem rzucił o piach i dotkliwie pobił. Ale mimo wszystko pozwolił przeżyć.